

Rozdział XII: Wybacz mi

[\[oryginał\]](#)

autor: Chromosome

przekład: aTOM

Korekta: Finn Di Cordian, Jacek Hożejowski

Może doktor miał rację. Może ze mną naprawdę jest coś nie tak. Przez krótką chwilę jestem pewny, że bycie nienormalnym jest całkowicie w porządku. Bo sam świat tak naprawdę nie dba o to, co terapeuci uznają za definicję „normalności”.

Rzucam szybkie spojrzenie na Rarity. Nie wygląda, żeby był ranna. Nadal mam jeszcze trochę czasu. Mam tylko nadzieję, że nie zrobi nic głupiego. Ostrze noża krąży centymetry od jej gardła. Jeden zły ruch i to wszystko pójdzie na marne.

Pinkie cały czas gadała do tego stwora. Mam nadzieję, że mnie też zrozumie.

- Odłóż to, Gummy. Policja jest już w drodze. To koniec.

Gummy cały czas wpatruje się w moje oczy. Jego wzrok jest pusty, nieobecny. Potrafię czytać kucyki, ale teraz czuję się, jakby się gapił w ścianę. W jego oczach nie ma kompletnie niczego. Jego szczeka zaciska się mocniej na trzonku noża; Rarity wzdryga się, kiedy stał ociera lekko o jej szyję. Nie ma odwagi powiedzieć nawet słowa. Jedynie obserwuje.

- Nie masz już nic więcej do udowodnienia, Gummy. Miałeś swoje pięć minut, ale teraz nadszedł koniec, parszywy gadzie.

Zwierzak nie reaguje na obrazę. Czuję, jak coś spływa mi po boku karku. Nie wiem, czy to pot, czy woda.

- Muszę przyznać, że nieźle mnie wykiwałeś - zaczynam powoli mówić, robiąc ostrożnie krok w przód. Natychmiast się z powrotem cofam, kiedy Gummy porusza głową i dociska ostrze do szyi Rarity, na której pojawia się mała strużka krwi. - Tak samo jak wszystkich innych. Nikomu nawet by się nie śniło, żeby cię podejrzewać, racja? Pewnie uważałeś się za cholernie sprytnego. Mogłeś się bez problemu wyślizgnąć z pokoju Pinkie, kiedy nikt nie patrzył. Znałeś ją. Ona ci ufała. Nawet jeśli każdy myślał, że trzymanie małego aligatora jako zwierzątko domowe to szaleństwo.

Gummy nadal jest nieporuszony moimi słowami. Ale słucha. Niczego więcej mi nie trzeba. Muszę tylko odwrócić jego uwagę od Rarity. Nie mam jeszcze możliwości oddania

czystego strzału.

- Mały Gummy. Kto by się spodziewał? Cały ten czas szukałem kucyka z tajemniczymi, nierealnymi mocami. I w końcu zacząłem myśleć, że być może wcale nie powinienem rozglądać się za kucykiem. I wtedy mnie olśniło. Jakim cudem morderca mógł podążyć za Pinkie tak, aby nikt tego nie zauważył? Jak mógł przesmuglować narzędzie zbrodni do domu kogoś innego? I jak mógł wejść i wyjść z pokoju nawet nie dotykając klamki? Dość łatwo to zrobić, kiedy jest się tak małym, że nikt praktycznie nie zwraca na ciebie uwagi.

Ściskam rewolwer mocniej. Gdzie jest to cholerne wsparcie? Nawałnica z pewnością ich spowolniła. Muszę jakoś odwrócić jego uwagę. Nie mogę pozwolić, aby znowu ktoś zginął. Gram więc na czas, jedynym sposobem, jaki mi przychodzi do głowy.

- Pozostała tylko kwestia motywu - mówię, pociągając nosem. - Dlaczego niewinny zwierzak miałby się nagle zamienić w zabójcę? I wtedy przypomniałem sobie coś, co powiedziała mi Fluttershy. Wycieczka do zoo. Żeby zobaczyć żyrafy, lwy... i aligatory.

Dostrzegam lekki błysk w oku gada. Gummy nagle odwraca swoją uwagę od Rarity i wlepia we mnie swoje paciorkowate oczy.

- Pierwszy raz pewnie widziałeś prawdziwego aligatora, co? To musiało być niezłe uczucie. Straszne z nich bestie, prawda? Wielkie, żarłoczne, z paszczą pełną ostrych zębów. Prawdziwe drapieżniki. A ty? Ty byłeś jakąś pseudo-jaszczurką, która pozwalała różowemu kucykowi karmić się naleśnikami. Żałosne.

Jest wyraźnie oburzony. Gad czy nie, zachowuje się i myśli jak kucyk. To sprawia, że jest tym bardziej niebezpieczny, ale jednocześnie daje mi coś, na czym mogę się oprzeć. Przesuwam się lekko w bok, a jego oczy podążają za mną.

- Pewnie cię to niezłe zabolalo, mam rację? Znam to uczucie. Nazywają to kryzysem osobowości. Ale czego innego można by się spodziewać po kimś równie nędznym. Ty, drapieżnikiem? Nie dałbyś rady przegryźć balonu, a co dopiero antylopy. Musiało cię to cholernie wkurzyć. Szkoda, że nie byłeś na tyle silny, żeby wziąć winę za to na siebie. Albo zaakceptować to, do diabła. Zamiast tego, wyładowałeś złość na kimś innym. Na Pinkie Pie.

Gdzie do jasnej cholery są pozostali policjanci? Ulewa na zewnątrz jeszcze bardziej przybiera na sile, a wicher najwyraźniej próbuje wyrwać całe miasteczko z ziemi i przenieść gdzieś, gdzie być może to wszystko nabierze jakiegoś sensu.

- Właśnie tak: Pinkie Pie. Bo przecież to wszystko stało się przez nią, racja? To takie proste, zrzucić winę na kogoś innego, dzięki czemu od razu zyskujesz też kogoś, na kim możesz wyładować złość. Łatwiej dzięki temu zapomnieć, jak żalosny jesteś ty sam. Ale ty nie miałeś nawet na tyle odwagi, żeby od razu to skończyć. Poczekaleś, aż będzie sama, a przed

zadaniem śmiertelnego ciosu upewniłeś się, że będzie też obezwładniona. Żałosne.

Nagle przychodzi mi do głowy pomysł. Zwariowany, na tyle, że może się udać. Opuszczam rewolwer i daję Gummy'emu nowy cel. Oczy Rarity robią się szerokie.

- Powtórzę jeszcze raz: żałosne. Zabiłeś kucyka, który „obdarł cię” z prawdziwej natury. A teraz zamierzasz zabić jedyną osobę, która może zeznawać przeciwko tobie. Prędzej czy później zrozumiałaby, co się stało. Kto miał być następny? Twilight? Fluttershy? Może Rainbow Dash albo Applejack? - Zmuszam się do śmiechu. Moje gardło opuszcza jednak coś bardziej przypominającego suchy kaszel.

- Kiedy planowałeś zrobić coś naprawdę imponującego, a nie tylko atakować z ukrycia bezbronne klacze? Bałeś się zadrzeć z kimś, kto może się obronić, racja?

Aligator nadal stoi niczym kamień. Nóż powoli odsuwa się od gardła Rarity. Serce zaczyna bić szybciej. Czuję coś, do czego nie przywykłem. Pewność siebie.

Znika ona w mniej niż sekundę, kiedy Gummy nagle rzuca się z łóżka, szybciej, niż ktokolwiek mógłby go o to podejrzewać. Nie mam szansy nawet oddać strzału.

Moja tylna noga nagle wybucha bólem. Zwalam się na ziemię i czuję to samo w przedniej, lewej kończynie. Próbuję podnieść rewolwer. Szybkie cięcie wzdłuż mojej piersi powoduje, że broń zostaje odrzucona na drugi koniec pokoju. Czuję, jakby ktoś podpalił moją skórę i zaczął mnie z niej żywcem obdzierać. Unoszę kopyto na wysokość twarzy: ostrze wbija się w pęcinę aż do kości. Nóż staje się jedynie rozmazaną plamą. Próbuję się ruszyć. Wstać, odsunąć się, wyrwać temu gadowi jego broń. Tnie mnie w łopatkę. Szyję. Znowu próbuję się odwrócić i wstać. Nóż ponownie operuje mi tylną nogą, która załamuje się pode mną.

Coś wpada mi do oczu. Kłuje. Piecze. Czuję metal na języku. Moje ciało się poddaje. Przestaję się ruszać, a głowa opada na bok.

Krew leje się z mojego ciała ze wszystkich możliwych miejsc. Trzask pioruna. Wycie wiatru. Gummy wskakuje na moją klatkę piersiową i przykładą końcówkę noża do serca.

Łóżko jest puste. Rarity zdołała uciec. A Gummy patrzy się na mnie, z nożem przy moim sercu, i czeka.

Zrób to. Zrób to, do cholery. Po prostu to skończ.

Nie robi tego. Na jego pysku pojawia się coś na kształt uśmiechu, kiedy upuszcza nóż. Ostrze ześlizguje się po moim brzuchu, czerwone od krwi.

Zielony stwór powoli się ze mnie schodzi. Dostał to, czego chciał. Trupa. A nawet więcej.

Gliny znajdują ciało detektywa, zamordowanego w domu głównej podejrzanej w sprawie, którą ten prowadził.

A Rarity? Rarity powie im, że zostałem zadżgany przez małego aligatora.

Tym razem nie będzie żadnej litości. Żadnego zrozumienia. To będzie niczym ogień i siarka, szybkie i okrutne, służące za przykład. Dwa kucyki zostały zabite, a odpowie za to kompletnie niewinna osoba.

Gummy zniknął.

Zostałem sam, w jednej z wielu sypialni w Ponyville, za której murami szaleje wiatr i deszcz. Nie sądziłem, że tak właśnie skończę. Oddychanie staje się... coraz cięższe...

Nadchodzi ciemność. Czuję się śpiący. Zamykam oczy i powoli wypuszczam powietrze. Nie ma tu nikogo, kto by mnie pożegnał. Nie miałem nawet okazji zapalić ostatniego papierosa.

Nie powiem, żebym się tego nie spodziewał. Kolory. Senność. Gdzieś w oddali słyszę jakby mały bęben, który rytmicznie usypia mnie do snu. Poddaję mu się.

Wygląda na to, że wszystko jednak szlag trafił.

Wybacz mi, Pinkie.

Nie.

Złap oddech. Powoli. Wstawaj. Wstawaj, sukinsynu.

Umrzesz sobie kiedy indziej. Teraz Rarity cię potrzebuje. Pinkie Pie cię potrzebuje.

Próbuję ruszyć przednią nogą. Ani drgnie. Zmuszam ją do ruchu. Już zaczyna mi brakować powietrza. Trudno się oddycha, kiedy w twoim ciele jest więcej dziur niż w poduszce do igieł. Trench jest ciężki od deszczu i krwi, więc wyślizguję się z niego. Jakimś cudem udaje mi się ustawić pod ciałem wszystkie cztery nogi, nawet te dwie, które za cholerę nie chcą mnie słuchać.

Boli. Boli tak, jakby każdy z moich mięśni już zdecydował, że lepiej od razu umrzeć. W tym momencie więcej mojej krwi znajduje się pewnie na podłodze, niż w ciele. Ale skupiam się. Skupiam się na jedynej rzeczy, która zawsze pozwala mi przeżyć kolejny dzień.

Potrzebowałem cię, Pinkie. A teraz ty potrzebujesz mnie.

Wstaję.

Nogi z trudem wytrzymują ciężar mojego ciała. Czuję, jak kręci mi się głowie, a w uszach zaczyna dzwonić. Przez sekundę jestem niemal pewny, że zaraz stracę przytomność. Ale nie mogę tego zrobić. Jakimś cudem daję radę skupić się na tyle mocno na moim rewolwerze, że otacza go słaba poświata i przesuwa ku mnie.

Wyciągam go przed siebie. Wychodzę, opierając się o ścianę i zostawiając za sobą czerwony ślad.

Wdech. Wydech. Moje serce ledwo bije. Ale musi jeszcze chwilę pociągnąć. Jeszcze nie mogę umrzeć. Widzę na kafelkach ścieżkę z krwi. Mojej krwi. Jeszcze świeżej. Może jest jeszcze czas. Podążam za śladem w dół schodów. Rewolwer drży i o mało co go nie upuszczam.

Kuchnia. Deszcz przybrał na sile, ale słyszę go niewyraźnie, jakby dobiegał z telewizora z popsatą anteną. Opieram się o futrynę drzwi i podnoszę rewolwer. Krwawy ślad kończy się przy zlewie, do którego leci woda.

Właśnie tak, Gummy. Umyj się i ucieknij. Nikt się nie domyśli. Robię krok w przód i prawie poślizguję się na mojej własnej krwi. Gad to usłyszał. Łuskowata głowa wychyla się ze zlewu, a paciorkowate oczy spoglądają na mnie. Uśmiecham się. To boli.

- Cześć, Gummy. Jeszcze z tobą nie skończyłem.

Strzelam. Kran wybucha, rozpryskując wokół fontannę wody, kiedy aligator rzuca się na pobliską półkę.

Dureń. Uspokój się. Nie szarżuj. Po prostu wyceluj i strzel. Ale ciężko celować, kiedy cały się trzęsiesz.

Gummy rusza w kierunku stojaka na noże. Nie mogę mu pozwolić na zdobycie broni. Strzelam po raz kolejny i znowu pudłuję, robiąc dziurę w eleganckich, kuchennych ręcznikach. Aligator skacze i chwyta za trzonek noża. Gdy strzelam po raz kolejny, jego nie ma już na półce.

Poruszanie się po śliskiej podłodze przypomina polowanie na bagnach. Ale to nie ja tu jestem łowcą. On nim jest, i jest dla mnie zbyt szybki, żebym mógł go trafić. Zostały mi trzy kule. Nie mogę ich zmarnować.

Przez przednią nogę przechodzi fala bólu. Strzelam na oślep. Trafiam jedynie w wodę. W tym samym czasie moja kolekcja ran ciętych zwiększa się o nowy nabytek. Nie wiem, ile czasu mi jeszcze zostało. Mam wrażenie, że każda następna sekunda będzie tą, w której padnę twarzą w barwioną krwią wodę. Chwilę potem właśnie to robię.

Jakimś cudem daję radę utrzymać rewolwer. Mój obraz się rozmywa. Gad jest za szybki, a ja działam na pożyczonym czasie. To moja jedyna przewaga. Liczę, że mi wystarczy.

Dostrzegam go kątem oka. Choć na początku nie jestem pewny, czy to on, czy tylko cień rzucany przez tańczące na wietrze drzewa na zewnątrz. Chwilę potem błysk pioruna odbija się od jego oczu.

Nie strzelam, pozwalając mu się zbliżyć. Dostrzegam błysk stali.

Nóż zatapia się w mojej piersi aż po trzonek.

Prawie tego nie poczułem. Prawie. Gummy próbuje wyciągnąć ostrze. Bez zastanowienia, moje kopyto sięga i łapie za nóż, wsuwając go z powrotem. Boli jak diabli, ale mimo to trzymam go w środku ciała i czuję, biorąc ostatni oddech.

Mój rewolwer opada. Strzał zdaje się trwać tyle, co cały czas od momentu rozpoczęcia tej sprawy aż do tej chwili.

Zielone ciało pada na ziemię, rozchlapując mętną wodę. Po chwili do niego dołączam.

Zdaje mi się, że słyszę jakieś głosy w oddali. Nie czuję już bólu. Woda krąży wokół moich ran, a odgłos deszczu przypomina fale uderzające o brzeg. Nie chce mi się nawet wyciągać tego noża.

Nagle ogarnia mnie okropne zmęczenie. Nie walczę z nim. Zamykam oczy, a świat znika za moim powiekami.

W sumie, to chyba nienajgorszy sposób, aby umrzeć.

[<<< rozdział XI](#)

[Epilog >>>](#)

[The Polish Writers Society \(FimFiction\)](#)